

Warszawa, 16.11. 1990 r.

Wspomnienia pracy w szkole

Gdy wstąpiłam do Zgromadzenia Sióstr Pallotynek w maju 1934 r. to już w roku szk. 1934/35 pracowałam w różnych szkołach powszechnych: w Rajcy, Wołcy, Płużynach i jeszcze w innych szkołach. Jeździłam prawie zawsze z inną siostrą. Uczyłyśmy religii. Często nauka odbywała się w jakiejś izbie użyczonej nam przez godpodarza. Wtedy do takiej izby przychodziły dzieci z różnych szkół. Odbywało się przygotowanie do Pierwszj Komunii. W roku szk 1937 - 39 uczyłam na Wileńszczyźnie. Otwarłyśmy tam nową placówkę apostolską w Zarankowszczyźnie pow. Lida. Stamtąd chodziłam do trzech szkół podstawowych: Żyle, Kudejsze i Gieranony. Uczyłam dzieci w szkole I stopnia, II stopnia i III stopnia. Tam były prawie wszystkie dzieci wyznania katolickiego. Żyle było odległe około 4 km od Zarankowszczyzny. Chodziłam tam pieszo jeden raz w tygodniu i miałam chyba 6 godzin szkolnych. Zimą podróż była trudna. Było bardzo dużo śniegu i wielki mróz. Gdy na wiosnę śnieg tajał to drogi były śliskie i dużo wody. Zdarzało się, że idąc do Żyle przewracałam się. Nogi zawsze miałam mokre i czasem i ubiór. Siedzenie w klasie 6 godzin było trudne, bo szczególnie zimne i mokre nogi odczuwały ból. Do Kudejsz było 6 km. Przeważnie przyjeżdżał podczas zimy gospodarz i wtedy jechałam konno sankami. Gospodarz miał na nogach ciepłe wojski i kożuch na sobie. Ja natomiast nie miałam ciepłej odzieży ani ciepłych butów. Woźnica często schodził z wozu, czy z sanek i trzymając lejce siedł obok wozu, aby się zagrzać. Uczyłam tam 2 razy w tygodniu po 7 godzin. W Gieranonach uczyłam także 2 razy tygodniowo po 7 - 8 godzin. To była szkoła III stopnia było 7 klas. Do Gieranon było około 4 km drogi. Zawsze szłam pieszo. Jednego ranka zimą ę zauważyłam stado wilków, które w niewielkiej odległości przeszły przez drogę. Byłam płatna od godzin. Za jedną godzinę otrzymywałam 1 złotówkę.

W Zarankowszczyźnie byłyśmy tylko trochę ponad 1 rok. Musiałyśmy zlikwidować tę placówkę z powodu różnych trudności.

Podczas wakacji w r. 1938 przygotowałam dzieci do Pierwszej Komunii św. Było około 100 dzieci. W czasie uroczystości jedno dziecko dało mi złotówkę. Trochę to mnie zdziwiło. Ale dowiedziałam się, że poprzednio za przygotowanie dzieci każde dziecko płaciło katechetce po 1 zł. Uczyłam codziennie po kilka godzin. Gdy opuściłyśmy Zarankowszczyznę to objęłyśmy placówkę apostolską w Gieranonach. Moja pensja wystarczyła na utrzymanie 3 sióstr. W dodatku miałyśmy za co pojechać do Wilna na kursy, zebrań. W sierpniu 1939 r. wyjechałyśmy z Gieranon do Rajcy.

Ucząc religii prowadziłam jeszcze Krucjatę Eucharystyczną i urządzałam różne akademie np z okazji pogrzebu Papieża Piusa XI oraz z okazji ingresu Papieża Piusa XII. Bardzo lubiłam tę pracę. Teraz nastąpiła wojna, którą przegrymam w Wilnie - S. Kinga Kosiedowska STP

Elżbieta Feliniak, 1990]

[dla Archiwum Wschodniego relacja

S. Kinga Kosiedowska
ul. Płońska 20
03-683 Warszawa

II/720

© ARCHIWUM Wschodnie

WSPOMNIENIA - pisane 17. 11. 1990 r.

Pierwsze dni na Wileńszczyźnie i w Wilnie podczas okupacji

Dnia 15 września 1939 r. wyjechałam razem z S. Vitą Nowak do Komaj, pow. Święciany.

Trzeba było jechać przez Nowogródek i Wilno. W Wilnie dnia 15 września przeżyliśmy bombardowanie. Schroniliśmy się z innymi ludźmi w kościele św. Kazimierza. Wieczorem, po uspokojeniu się, wyjechałyśmy do Komaj.

16 września byłyśmy na miejscu i udałyśmy się na plebanię do ks. proboszcza.

Zdaje mi się, że już na drugi dzień udałam się do szkoły, gdzie miałam katechizować. Szkoła była zamknięta. Policji nie było. Ludzie patrzyli na nas ze zdziwieniem. Proboszczowi było przykro, że przyjechałyśmy w takim czasie. Już wszyscy wiedzieli, że Rosjanie wtargnęli do Polski.

Ks. proboszcz poprosił nas na rozmowę. Powiedział, że trzeba się przebrać, bo bolszewicy już wiedzieli, że na plebanii mieszkają siostry.

Ks. proboszcz dał nam jeden pokój. Mieszkałyśmy tam ponad miesiąc czasu. Pomagałyśmy gospodyni we wszystkim: prałyśmy, obierałyśmy ziemniaki itd.

S. Vita była przełożoną i starała się o to, aby wyjechać do naszych sióstr. Dowiedziała się, że cztery siostry są w Wilnie, dlatego prosiła, aby te siostry wystarały się także dla nas o miejsce pobytu na czas wojny w Wilnie. Jakaś pani z Komaj jechała do Wilna i zabrała nasz list.

Od tej pani, w zamian za kożuch otrzymałyśmy świecki ubiór, który był w złym stanie. Płaszcz miałyśmy własne.

W Wilnie u Sióstr Nazaretanek przy ul. Sikorskiego :? tak mi się zdaje/ mieszkała s. Prakseda Józefa z s. Bronisławą, a u sióstr Wizytek mieszkały: S. Prakseda z s. Ekspedytą Frenkiel.

S. Prakseda z S. Ekspedytą chodziły do różnych zgromadzeń i prosiły, o przyjęcie nas do siebie na czas wojny. Ale szukały długo. Nie było miejsca dla uciekinierek, bo i tak było w klasztorach pełno sióstr z pobliza Wilna i z powodu przepełnienia nikt nas nie mógł przyjąć.

Ale były jeszcze siostry salezjanki, które prowadziły sierociniec na około 100 dzieci. Te siostry zgodziły się na nasz przyjazd.

Pod koniec października 1939 r. przyjechałyśmy do Wilna. Na dworcu były: s. Prakseda i s. Ekspedyta Frenkiel. Zaprowadziły nas do sióstr salezjanek, które nas bardzo miło przyjęły. Dały nam pokój. Pomagałyśmy siostrom w kuchni i pralni. Mydła nie było i prałyśmy ługiem z popiołu.

Siostry otrzymywały przydział, żywności dla dzieci i dla personelu. Początkowo jadałyśmy tylko kaszę: rano kleik, w południe obiad; kasza dość gęsta i wieczorem zupę z kaszy. Potem siostry otrzymały ziemniaki i mąkę. Wtedy wyżywienie było już lepsze.

Kierowniczką sierocińca i przełożoną była włoszka S. Laura. Cierpiała na artretyzm. Nie mogła chodzić, ale w kancelarii wszystko załatwiała. W mieście wszystkie sprawy załatwiała s. Jadwiga, która dla nas postarała się o meldunek.

Po kilku dniach przełożona sióstr nazaretanek s. Fides zwołała nas razem i poleciła iść do Arcybiskupa. Poszły więc: S. Prakseda Kulas i S. Ekspedyta. Arcybiskup Jałbrzykowski polecił, abyśmy się ubrały w szaty zakonne. Potem wszystkie poszłyśmy do Arcybiskupa, który mile nas przyjął jako pallotynki do swej diecezji. Potem na Boże Narodzenie zamieszkałyśmy wspólnie u SS Nazaretanek.

U sióstr nazaretanek była szwalnia dla uciekinierów. Pracowałyśmy razem z nazaretankami w tej szwalni. Tam otrzymałyśmy trochę lepszą odzież. Żywiły nas ~~siestry~~ siostry w jadalni przeznaczonych dla dziewcząt z internatu. Po pewnym czasie zabrano także domy siostrom i wtedy szukałyśmy innego pomieszczenia i innej pracy s. Kinga Kosiedowska i t.

[dla Archiwum Wschodniego rebrasa E kibetę Felicjan, 1990]

© ARCHIWUM WSCHODNIE Moja praca w szpitalu podczas okupacji

W Wilnie podczas okupacji radzieckiej pracowałam jakiś czas w szpitalu zakaźnym na Rossie. Zdaje mi się, że ten szpital był urządzony w szkole. Dyrektorem szpitala była bardzo dobra osoba - żydówka. W tym czasie bardzo dużo ludzi chorowało na tyfus. Była poprostu epidemia tyfusu. Zostałam przyjęta do pracy w tym szpitalu na stanowisko sanitariuszki. Pracę tę załatwiła mi nasza przełożona S. Praksesta Kulas. Na początku moja praca polegała na sprzątaniu przedpokoju przy okienku sali przyjęć. Przychodziło dużo osób w sprawie swoich chorych, przychodzili lekarze i inni pracownicy. Stałam obok drzwi wejściowych i za każdą osobą wchodzącą czy wychodzącą zawsze wycierałam dokładnie podłogę. To była praca nużąca, monotonna. Miotłę i ścierkę miałam zawsze w rękach, ale też przed poczekalnią było zawsze czysto i nikt z lekarzy nie zwrócił mi żadnej uwagi. Wszyscy byli dla mnie uprzejmi. Potem przydzielono mnie do pomocy starszej pielęgniarki. Tutaj moja praca była inna. Osobom chorym, nie mogącym wstać usługiwałam przez podawanie naczyń do łóżka. Potem dokładnie myłam, płukałam. Jedna z lekarzy poinformowała mnie, żeby zawsze dobrze i dokładnie myć ręce, żeby się nie zarazić tyfusem. Do mycia rąk była przygotowana w miednicy woda z roztworem dezynfekującym. Zdarzało się, że czasem pielęgniarka nie przyszła do pracy. Wtedy ja musiałam uważać na pacjentów. Chorzy przed śmiercią byli niespokojni. Bałam się, że wypadną z łóżek a ja nie dam rady wsadzić ich z powrotem. Dlatego też często przywiązywałam chorych prześcieradłem do łóżka. Gdy rano był obchód lekarski to jedna z lekarek uświadamiała mnie, gdzie, w którym miejscu należy zrobić zastrzyk, bo dużo chorych miało opuchnięte ciało od złego wykonania zastrzyku. Gdy lekarska z dobrocią dawała mi takie rady to chociaż nie byłam pielęgniarką czułam się usatysfakcjonowana - czułam się osobą, którą lekarz rozumie. Do szpitala przywiodzili księża, ojcowie karmelici z posługą kapłańską. Często widywałam kapłana przy łóżku umierającego. W tym czasie mieszkaliśmy u SS. Bernardynek. Codziennie rano wychodziłam z domu, aby zdążyć na mszę św. w kaplicy cudownego obrazu Matki Boskiej Ostrobramskiej. Wychodziłam z domu naczczo i nic z sobą do jedzenia nie zabierałam, bo w domu chleba nie było. Liczyłam na to, że może zostanie coś dla mnie od chorych. Chorzy otrzymywali tylko sucharki i kleik. Pielęgniarki dokładnie wiedziały, którzy chorzy nie będą jedli, bo byli umierającymi i dlatego posiłek dla chorego zatrzymywały, bo z izby chorych nie wolno było używać potraw ze względu na możliwość zakażenia. Pielęgniarki dzieliły się tym posiłkiem, jednak ja bardzo często nic nie otrzymałam i wracałam wieczorem do domu na czczo.

II/720

Moja praca w szpitalu podczas okupacji - cd.

Wspomnienia

Gdy głodna wracałam do domu, to zawsze zatrzymywałam się na ulicy pod Ostrą Bramą, aby się pomodlić tak za chorych jak i za wszystkich w Wilnie i za te siostry, które nas przyjęły do swego domu. W naszym domu siostra Vita Nowak przygotowywała nam posiłki. Były to różne zupy, których ja jeść nie mogłam. Gdy brałam do ust to jedzenie to brały mnie nudności, ale zawsze coś spożyłam. I wytrzymałam. Gdy jednego dnia pracowałam w szpitalu, to zaczęło się bombardowanie. Dużo pracowników szpitala poszło do domów do swoich rodzin. Na nocny dyżur nikt nie przyszedł. Zostałam sama i kilka sanitariuszy. Pacjenci oraz sanitariusze byli ciekawi jak to bombardowanie wygląda. Ja byłam strasznie zmęczona tak głodem, jak i pracą. Chciałam też iść na noc do naszych sióstr, ale dyrektor powiedziała, że nie mam w domu dzieci, że mam zostać przy chorych. i Zostałam. Łóżka z chorymi odstawiliśmy od okien, żeby chorym się coś nie stało od tego bombardowania. Inni chorzy, którzy mogli chodzić poszli do piwnicy, do jakiegoś schronu. A ja po małym odpoczynku przy stoliku też wstałam i razem z innymi patrzyłam przez okno. Opowiadano, że katedra zburzona, że klasztor ss. katarzynek z kościołem jest też w ruinie. Myślałam o naszych siostrach i strach mnie brał, że jestem tutaj sama a nie z innymi. Ale była z chorymi. Gdy tak raz patrzyłam przez okno, to naraz powstał wielki zgiełk, hałas i szyby z okien potłukły się i wypadły na podłogę. Już nie sprzątałam tych ułamków szyb, tylko spoglądałam na chorych i w duchu modliłam się, aby się im nic nie stało. Dopiero rano przyszłam do domu. Na ulicach były pustki, tylko pełno szkła i odłamków od murów. Domy wprawdzie stały, ale były tylko uszkodzone. Ze strachem weszłam do klasztoru. Nasze siostry były wszystkie zdrowe. Całą noc przesiedziały gdzieś w schronie na korytarzu w piwnicy kościoła. Nikt tej nocy nie spał. I Chyba na tym skończyła się moja praca w szpitalu zakaźnym.

Z tej pracy wyniosłam wielkie korzyści. Przede wszystkim nauczyłam się robienia zastrzyków, choć nigdy ich dotychczas nie robiłam. Lekarka tak dobrze mnie poinformowała, że już potem sama potrafiłam zrobić zastrzyk. Gdy po okupacji wróciłam do Gdańska i tam zorganizowałyśmy sierociniec dla dzieci ofiar wojny to ja przez kilka lat byłam główną higienistką i pielęgniarką tego domu. Choć pracowałam w szkole, na stanowisku nauczycielki religii to jeszcze dodatkowo byłam higienistką sierocińca. Tak samo było i w szkole nr 12 w Gdańsku, przy ul. Kartuskiej. Szkoła nie miała higienistki i pani kierownik szkoły Teresa Migdał zleciła mi tę pracę. Byłam nawet pierowniczką szkolnego koła PCK i gdy się coś dzieciom w szkole zdarzyło to tylko ja jedna potrafiłam zdezynfekować ranę i wysyłałam do szpitala przy ul. Kartuskiej.